ŻYCIE WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK VI POZNAŃ STYCZEŃ 1936 NR. 1 (51)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

JULJAN SZPUNAR:

REZERWAT POLSKIEGO FOLKLORU

Łowiczanie, Krakowiacy, Podhalanie, Slązacy i Huculi mają już ustaloną renomę w Polsce i każdy z nas wie o nich mniej lub więcej, zna ich z pocztówek, pomocy naukowych, z kina, przedstawień teatralnych czy widowisk, wielu zetknęło się z nimi osobiście, bezpośrednio ale o wielkopolskich rezerwatach ludowych wie się nic lub bardzo mało poza granicami zachodnich województw. A nawet zaryzykowałbym twierdzenie, że w samej Wielkopolsce ma się o tej sprawie dość mgliste pojęcie. Taka Biskupizna np. jest niemal terenem dziewiczym, rzadko się tutaj zagląda a i lud sam nie kwapi się ukazać poza swoją najściślejszą ojczyzną.

A przecież jest co widzieć, jest na co patrzeć, jest i co podziwiać. Wprawdzie obyczaje i strój uległy poważnej zmianie od czasów dajmy na to Kolberga, to jednak rejon ten posiada i dziś jeszcze tyle uroku, tak różny jest od reszty Polski a mimo to rdzennie rodzinny, że warto się nim zająć, warto zobaczyć. Strój piękny, wielce oryginalny utrzymuje się zawzięcie u kobiet i dziewcząt, u młodzieży męskiej natomiast i wieśniaków starszych uległ zmianie o tyle, że zamiast białych spodni widzi się coraz częściej wojskowe, obok biskupiego koloru marynarki.

Centrum i stolicę Biskupizny stanowi miasteczko Krobia a ponieważ zasięg strojów ludowych jest daleko szerszy, niźli obszar biskupiego klucza krobskiego, przeto niekażdy zdaje sobie sprawę z granic i położenia tej nader ciekawej, bez przesady mówiąc, egzotycznej krainy. Przesuwa się jej granice tak daleko, jak daleko sięga czerwona marynarka i charakterystyczne nakrycie głowy płci pięknej!

Spróbujmy przeto naprzód ustalić granice Biskupizny, to jest ziemi, nabytej przez biskupów poznańskich jeszcze w XIII. w. Wedle cennych informacyj p. redaktora Kroniki Gostyńskiej Stachowskiego i nauczyciela z Siemowa p. Buscha, do Biskupizny należą poza Krobią następujące wioski: Sułkowice, Posadowo, Potarzyca, Chwałkowo, Kuczyna, Kuczynka, Grabianowo, Pudliszki, Chumiątki, Żychlewo, Pijanowice, Sikorzyn, Bukowica, Karzec, Ciołkowo, Rojewo, Wymystowo (wieś niegdyś skolonizowana przez Niemców, dziś prawie całkowicie polska), Ziemlin, Włostno Wielkie i Małe, Domachowo, Organki, Rębowo, Róża, Ziółkno i Stara Krobia. Oto prawie cała Biskupizna.



Romuald Bogaczyk: „Motyw z Biskupizny" (linoryt oryg.)

Pragnąc się zorjentować bliżej w stosunkach, zatrzymałem się przez całą niedzielę (bo wtedy właśnie przywdziewa się te stroje) w Sułkowicach, gdzie od dłuższego czasu malują miejscowe typy artyści z Leszna, pp. Bogaczyk i Wasielewski. Wieś ładna, dobrze zabudowana, teren lekko falisty, ludzie zamożni (około 750 dusz) z powodu urodzajności gleby. W środku wsi dwa stawki, przypominające mi Szymborze, mnóstwo gęsi i kaczek. Budynki przeważnie z czerwonej cegły, tu i ówdzie rywalizujące z podmiejskiemi willami. Szkoła w miejscu, parafja w Krobi, odległej o 4 km.

W tym dniu miała się odbyć zabawa młodzieży i to właśnie ściągnęło gromadkę regionalistów z Leszna, boć gdzież lepiej można poznać zwyczaje i obyczaje ludu, jak nie przy muzyce, tańcu i... kieliszku. Po poł. około godziny 4-tej usłyszeliśmy zdala zawodzącą

melodję dudów i piskliwy ton przestrojonych specjalnie skrzypiec. Było to hasło rozpoczęcia zabawy. Za dwoma grajkami sunęli weseli, uśmiechnięci, rośli jak dęby chłopacy, (biorą ich wyłącznie do ułanów, z czego są bardzo dumni), kierując się ku gościńcowi, by sobie golnąć na ochotę. Dziewczęta tymczasem stroiły się w alkierzach lub też stojąc gromadkami przed chałupą. czekały niecierpliwie, kiedy kawalerowie udadzą się do tanecznej izby. Niebawem wyszli hałaśliwie z grającą siarczyście muzyką a za nimi z chichotem i szeptami podążały zwolna dziewczęta. Poszliśmy i my nieproszeni a jednak przyjęto nas mile i serdecznie.

Grajkowie usiedli na krzesłach, ustawionych na stole w kącie izby, na ławach zaś pod ścianą ulokowały się dziewczęta a chłopcy skupili się dokoła muzyki. Przy drzwiach wejściowych stanęło kilkadziesiąt małych dziewcząt⋅k, spoglądających wytrzeszczonemi oczyma na jasno oświetloną izbę i barwne postacie młodzieży.

Wtem dudziarz zabeczał jękliwym basem, potem dołączył klarnetowe dźwięki, skrzypki pochwyciły melodję a chłopacy dziewczęta i rozpoczęły się tany. Zaczęto je niesłychanie żywym, ognistym i namiętnym „wiwatem". Wykrochmalone spodnice nadymały się w ruchu wirowym skłębionem powietrzem, obejmowały pary tańczące a chłopcy przytupywali nogami, inni, z powodu braku tancerek, śpiewali przeraźliwie głośno, klaszcząc do taktu w dłonie. Co za temperament!

Po „wiwacie" nastąpił mniej skoczny „przodek", po nim „równy". Ład i porządek wzorowy, chociaż nie było nikogo ze starszych. Uprzejmi nader kawalerowie, odtańczywszy z damami kilka kółeczek, przystawali przed jednym z miejskich panów, ofiarując swoją partnerkę do tańca. Trudno było odmówić i trzeba było obracać się szybko w tłumie, by się nie dostać pod obcasy rozhulanych par tanecznych.

Zrozumieliśmy się na rzeczy i niebawem znalazła się litrówka „wyborowej". Jedna z tancerek nalewała wdzięcznie do potężnego kielicha, częstując kolejno wszystkich. Same napiłyby się chętnie, ale nie wypadało wobec mało znanych gości. Zato kawalerowie nie żałowali sobie, wskutek czego wzrastała radość, swoboda stawała się coraz większa i zwolna nastąpiło zbratanie stanów. Ciekawe, że chłopcy tańczyli w kapeluszach, nie zdejmując ich wcale podczas zabawy. Kiedy jednak przed opuszczeniem lokalu zabrałem głos, by podziękować im za serdeczną gościnę, wszyscy, jakby na rozkaz, zdjęli nakrycie głowy. Nie koniec tej uprzejmości. Muzyka i młodzież cała odprowadziła nas aż poza „uliczkę" (tak nazywają tu furtkę), grając tak długo, dopóki nie zniknęliśmy im z oczu.

O języku, pieśniach, obrzędach, zwyczajach możnaby napisać osobną książkę. Może się to zrobi później. Dziś pragnę tylko umieścić wiersz miłosny, dotychczas nigdzie niedrukowany, pochodzący z tej wioski.

PO SUŁKOWSKIM STAWIE

ONA: Po sułkowskim stawie płynie biały łabędź,
Miejże ty chłopulu, miejże o mnie pamięć!
Miejże o mnie pamięć, miejże pomyślenie,
Boś mnie osierocił jak w polu kamienie.
Bo w polu kamienie to wietrzyk owieje,
Ze mnie sieroteczki każdy się wyśmieje.

ON: Widzisz ty dziewucho tę suchą topolę?
Jak ona zakwitnie, to ty będziesz moją.

ONA: Zebym ja wiedziała, że ty będziesz moim,
Podlewałabym ja tę suchą topolę.
Podlewałabym ją, łzami ją skrapiała,
Żebym ciebie Jasiu, Jasieńku dostała.

ON: Widzisz ty dziewucho ten kamień nad wodą?
Jak on tu przypłynie, ożenię się z tobą,

ONA: Czyś ty chłopcze widział, żeby kamień pływał?
Czym ja cię prosiła, żebyś u mnie bywał?
Widzisz ty chłopulu klasztor murowany?
Będziesz ty mi płacił za wianek kochany.
Wisi jabłko, wisi, już opadać myśli,
A ten mój najmilszy o mnie nie pomyśli!

Takie to piosenki krążą po Sułkowicach, a ich melodje dziwnym zbiegiem okoliczności przypominają pieśni naszych górali podhalańskich. Tkwi w nich jakaś żywiołowa pierwotność, jakaś nieukojona tęsknota za lepszym światem, ogromne pragnienie szczęścia, pojmowanego zresztą nader prymitywnie. Słuch mają dobry i w przeciwieństwie do górali, śpiewają czysto, poprawnie, tylko drą się w niebogłosy.

Opuściłem tę egzotyczną krainę oczarowany, ale i smutny zarazem, że takie piękno ukrywamy pod korcem, miast je obnosić i pokazywać każdemu, dla którego drogie to, co nasze, co kryje w sobie minione dawno epoki, co uczy, upaja, co miłować każe. Biskupizna czeka na swego Reymonta.

Sądzę przeto, że dzięki „Wiciom" zainteresowanie się Biskupizną wzrośnie, że teraz dowie się niejeden z ignorantów, że co innego Biskupin z jego wykopaliskami, a co innego rejon przeze mnie opisany, którego stolicą jest skromna, starożytna Krobia.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKA

Ciekewe zjawisko polskiego świata literackiego stanowiła zmarła w r. obecnym córka artystki malarki, Anieli Pająkówny i Stanisława Przybyszewskiego. We wczesnych latach wyjechała z matką ze Lwowa do Paryża, co zostawiło głębokie ślady na całej jej twórczości. Już jako młode dziecko zaczęła przejawiać talent pisarski.

Istnieje ślad podziękowania ze strony ojca za dramacik przesłany mu przez utalentowaną jedenastoletnią Stasię. Nie znamy treści utworu, być może tyczył bohaterów przewrotu z 1789, dla których szkoła francuska wpoiła w jej duszę szczery podziw. Bezwątpienia wstępowała nieraz mała entuzjastka razem ze swą niezwykłą i ubóstwiającą ją matką do Musée Carnavalet, zbioru relikwij po Wielkiej Rewolucji. Tam to wobec dokumentów, sztychów i pamiątek, tyczących rewolucji zrodził się i utrwalił na zawsze jej kult dla Robespierre'a. Wpływ Paryża i szkoły francuskiej wrył się głęboko w duszę wrażliwego dziecka; nie wyrugował warstwy galickiej okres nauki, pobieranej w ośrodkach niemieckich, w Franzensbadzie czy Zurychu, pod opieką dr. Wacława Moraczewskiego, następnie w Wiedniu, gdzie Stasia osierocona przez matkę w r. 1912, przebywała pod opieką ciotki swej, mając aż do pełnoletności zapewnioną rentę przez mecenasowski dom Pawlikowskich z Medyki.

Sierota miała opinję dziewczyny szalenie zdolnej ale i niezwykle trudnej do prowadzenia. Skarżono się, że rozmawia z duchami, że jest ekscentryczna, szlachetna lecz w popędach nieposkromiona.

Spotkanie z ojcem w latach 1918-21 przysporzyło ambitnej, utalentowanej dziewczynie wiela przykrości i stanowiło w zasadzie najbardziej tragiczne chwile jej życia. Nie ojciec lecz matka została dla niej wzorem najdoskonalszym. „Inteligencja matki — twierdziła — objawiła się cała w wychowaniu, jakiego doznałam. Bezwyznaniowość, pozbawiona jednak buntowniczej goryczy, umożliwiła mi obecny mój objektywizm wobec wszystkich religij i specjalnie Kościoła; objektywizm niedosiężny dla tych, których dzieciństwo męczyło się pod przymusem do modlitwy. Bunt niezbędny takiemu dziecku, pozostaje na całe życie, choć dawno stracił rację bytu. Od tego mnie matka uchroniła. Dzięki niej poznałam świat zachodni jako dziecko; dzięki niej zachwycałam się Corneillem, Shakespearem a wnet potem Schillerem, mając lat dziewięć. Dawała mi tylko sposobność karmić się czem było mi potrzeba; sama rwałam się do klasyków. Wogóle jej zawdzięczam w znacznej mierze to, skąd dziś czerpię swą zarozumiałość, mimo, że mnie opuściła, gdy miałam dziesięć lat... Od niej pochodzi moja zdolność do logiki, do trzeźwości aż w uniesieniu twórczem i do autokrytyki, humoru, a wreszcie niezbędna dla artysty sumienność i niezmordowana cierpliwość w pracy. Charakter również matce zawdzięczam: słowem to, co się uważa za męskie pierwiastki psychiczne. Ojcu natomiast t. zw. „kobiecą“ intuicję czyli zdolność biernego poddawania, oddawania się tajemniczym prądom ducha, które czasem nazywają natchnieniem — i których przepływ może spalić. Po nim również mam skłonność do, lub raczej fizyczny głód, narkotyków. Tylko — że Ojcu szkodziły podczas gdy mnie służą jak chleb powszedni. Prawda jednak, że alkoholu nie używam.“

Osiadłszy w roku 1923 na terenie wolnego miasta Gdańska, wyszła Stanisława Przybyszewska za mąż za Jana Panieńskiego, co zapowiadało pomyślny zwrot w jej egzystencji.

O przemianie tej pisze z radością ojciec do jednego z swych przyjaciół: „Spotkała mnie wielka radość. Miałem córką nieślubną, którą bardzo kocham, i dla której z ciężkim trudem u cesarza Ftanciszka Józefa wyjednałem swego czasu moje nazwisko. Otóż córka moja Stasia wyszła w tych dniach za mąż — za dobrze ci znanego formistę Jana Panieńskiego, obecnie prof. fizyki i mate-

SZYMON PIGWA:

BALLADA O ZIELONEJ GRANICY

Ciągnęło ich w noce pogodne: przemytnika, poetę i szpiega,
Hukaniem dalekich puchaczy, aromatem jałowców i rosy,
Wołała ich mapa Europy konturami pstrokatej wszechwiedzy,
Stolice mrugały na mapie — szeroko rozwarte oczy.

Wymięty kupiec korzenny, w świecących, worczatych spodniach
Zawijał mydło do prania, i grosze na dłoni liczył,
Zapuszczał story o siódmej, i potem siedząc przy ogniach
Zorzy, majaczył o szmuglu i o zielonej granicy.

Szykowny komiwojażer sprzedawał złe materjały
Naiwnym chłopom, co klęli go potem przez resztę życia,
Ale gdy ludzie się kładli, twarz mu się dziwnie zmieniała —
Był szpiegiem, bardzo się spieszył, i bał się wschodu księżyca.

Praktykant nieogolony (nerwy niebardzo w porządku)
Wpatrywał się często za dnia w jakiś punkt tuż nad aktami,
Pod wieczór zostawiał akta, zamykał nudnawe książki,
I chodził aż za glinianki spojrzeć na obóz cyganów.

A ojczym groził: Źle skończysz, musisz być bardziej praktyczny,
Potokiem słów wciąż tych samych chciał przeinaczyć mentalność,
I mówił: Naucz się liczyć, gdy będziesz z ołówkiem liczyć,
Będziesz bogaty i tłusty, a nie, to pójdziesz na marne.

I ciągle groził: Słowacki miał pogrzeb dwudziestej klasy,
Wildowi złoto ze zębów wyjęli w przeddzień pogrzebu,
Musisz mieć zawód popłatny, bo nie dasz rady inaczej —
Potańcz, graj w brydża i kochaj, tylko w poezję się nie baw.

Praktykant słuchał i milczał, właściwie nie słuchał wcale,
Bo znał zupełnie napamięć odwieczną argumentację...
Uciekał z domu, mizerniał, i cały się w sobie spalał...
Mówili ludzie półgłosem: Niedobrze mu z oczu patrzy.

Granica była tak blisko, ciągła ogromem ryzyka,
Niewyśpiewaną symfonją nieznanej bohaterskości,
I codzień na tamtą stronę patrzał poeta — praktykant...
Za sosną już jest granica... za sosną ustaje pościg...

I za tą sosną jest droga do gigantycznej stolicy,
Do mrocznych katedr gotyckich, do jaskiń stalaktytowych,
I wołał blady horyzont, i drażnił tajemniczo,
I myśl wrastała jak korzeń w ciemne komórki mózgowe.

Kusiła myśl uporczywa, prężyła się w zwojach mózgu,
Szumiał Ocean Indyjski tak głośno w imaginacji,
Pokusa rosła i rosła, aż była zupełnie duża...
I stał poeta nad rzeką i nie mógł się chmurom napatrzeć.

W noc czarną trzy cienie szły wolno, stąpały, jak można najciszej,
Czaiły się chyłkiem na łączkach i w błocie, gdzie rzednie brzezina,
Skokami przez olchy sadziły, gdy las się na wietrze kołysał,
I stygły, gdy cichnął znienacka — słuchały czy rzeka już płynie.

I stały trzy nikłe cienie, jak młode krzaki olszyny,
Łowiły przez długą chwilę ledwie słyszalne szelesty,
A Strach, jak koń narowisty, coraz namiętniej się wspinał,
I do granicy już było zaledwie metrów coś dwieście.

Naukos z prawa na szosie pełzł smugą świetlistą autobus,
Parą powolnych błyskawic w wapiennym obłoku kurzawy,
Strzelisty rogacz na rowie w zwarte sosenki uskoczył,
I szurał z dwiema kozami wściekłym galopem przez graby.

I znowu skrzypiały sosny taką przeciągłą modlitwą,
Miarowem kiwaniem czubów, i biciem gałęzi o gałąź,
I wyszły cienie z młodnika, i pełzły przez liche żytko,
Aż się obudził w kartoflach ostrożnie drzemiący zając.

Rzeka rzucała w księżycu migania czarne i srebrne,
Wartko bulgocząc w okrągłych, mchem obrośnięych kamieniach,
I Strach rósł w sercach jak wicher, ciągle malała odległość,
I krew huczała do głowy, i stopy parzyła ziemia.

Już tylko pięcdziesiąt kroków: dąbki, polana, jerzyny,
Rozsiadłe krzewy złączonych w jedną rodzinę głogów,
Dlaczego ten księżyc świeci tak jakoś zimno i sino,?
I czemu sterczą mrowiska, jak reszty zapadłych mogił?

Skuleni weszli do rzeki, sięgała woda do kostek,
Robiło się coraz głębiej, woda już była do kolan,
Szli chwiejnie, w śliskich kamieniach prąd w gołe nogi bił ostro,
A strach się wżerał w rdzeń kości, jak głodny, kleisty polip.

Już byli na tamtym brzegu, szpieg się gramolił na zbocze,
Już wylazł prawie na piasek całkiem przemokły przemytnik,
Poeta chciał bukom krzyczeć odę pochwalną o nocy,
Lecz nagle zbliska zagrało wojennym, ponurym rytmem.

Trzaskało o drzewa, w łozy szła istna chmura ze stali,
Zdziwiony rzep nic nie wiedział co ma oznaczać ten hałas,
Drgały od szumu żelaza kolczaste krzaczyska malin,
A śmierć szła z kosą przez szkółki, i monotonnie świstała.

Przed świtem lekko, skokami, zbiegły nad rzekę króliki,
Prężyły uszy różowe, piły drobnemi łykami,
A trup poety, pół w wodzie, taki wydawał się śmiszny,
Bo woda dziwnie igrała kasztanowemi włosami.

JÓZEF KOŁODZIEJCZYK:

NARODZINY MIŁOŚCI

Napiły się moje oczy
mlecznej jasności świtu
i złud gwiaździsty pył
roztopił się w błękicie —
wędruję kwietnikami łąk,
srebrzystemi rzek zwierciadłami,
krzycząc na cały świat:
niech żyje życie!
Wdzieram się ciężarami blasków
w ciemne puszcz horodyszcze,
spijam chciwemi ustami
tajemną mglistość polan,
dal stepów pędem przestrzeni
rozszerza mi nozdrza
i szczęście łanami zbóż
kłania mi się do kolan —
Stalowe chmury smutków,
marzeń zwiewne obłoki,
purpurą serce przybrało,
nadzieją ozłociło —
czuję Cię blisko przy sobie —
wschód zgorzał blasków fanfarą:
na niebo życia wstępuje
wszechżyciodajne słońce — miłość.

matyki w polskiem gimnazjum w Gdańsku — o! śmiało mogę powiedzieć ja je stworzyłem — i znowu zdumiewające: lwią część moich sił zabrały zaciekłe starania o stworzenie tego gimnazjum — zięć mój profesorem — ukochana córka prawdopodobnie zostanie profesorem rysunków, a równocześnie pisze mi baron Bennet, ambasador szwedzki w Rzymie mąż mej ślubnej córki Iwi, że jak najzupełniej się zgadza, by sześcioletni mój wnuk Staś Gerard chował się w gdańskiem polskiem gimnazjum. Pojmujesz moją radość?“

Idyliczne stosunki gdańskie trwały niedługo, nie wszystkie punkty wymarzonego planu zostały zrealizowane, narkomanja położyła kres życiu profesora, męża Stanisławy. Zgubny nałóg zażywania morfiny uszczuplał też wątłe siły artystki, która postanowiwszy nie wiązać się żadną posadą, oddała się wyłącznie twórczości malarskiej i pisarskiej Owocem tej najbardziej intensywnej epoki miał być dramat, który istotnie po latach zagrany na sce ie lwowskiej i warszawskiej stał się najważniejszem wydarzeniem literackiem dnia.

Temat o Dantonie potraktowany był istotnie głęboko i silnie w oparciu o diltheyowską filozofję pierwiastków psychicznych i duchowych w omawianiu problemów humanistycznych. Nabierał on aktualności na tle dyktatorskich rozgrywek o władzę w szeregu organizmów państwowych, dla dramaturgji polskiej stanowił niecodzienne zjawisko. Swiadczył o lwim pazurze młodej autorki, stanowi też jak dotąd największą podstawę do jej sławy.

Dalszym ciągiem zainteresowań Przybyszewskiej rewolucją są dwa jej utwory epickie, pozostawione w rękopisie, p. t. „Ostatnie noce ventosa“ i „Ricqui“. Szczególnie ten ostatni zasługuje na uwagę, gdyż kreśli główny moment przewrotu francuskiego: styczniowe dni 1793, kiedy pod gilotynę poszła głowa króla.

Żałować wypada, że autorka nie doprowadziła utworu do końca, urywając, na wypadkach z zimy 93 r. Zarysowuje się już postawa młodego republikanina stającego z całą zaciekłością po stronie Robespierra przeciw Hébertowi, który stanowiąc ekstrem ultra terorystyczny przeciw ojcu Rewolucji, gotuje sobie zgubę. Zamiłowania autorki znane nam z dramatu występują wyraźnie w szkicu epicznym: kult Robespierra stał się czystą obsesją Przybyszewskiej. Nie dziw, że i w utworach z innej kategorji nawiązuje raz poraz do wątku rewolucji, wykazując głębokie wtajemniczenie w jej polityczne i psychologiczne kulisy.

JÓZEJ BIRKENMAJER:

PIERNIK I WIATRAK

Prolog do przygotowanej do druku
komedji pt. „MYSZY W KRUSZWICY"

Za króla Bolesława czy też za Jagiełły
stał wiatrak na pagórku gdzieś koło Kruszwicy.
Gdy sypano weń ziarna żyta lub pszenicy,
wówczas kamienie jego pracowicie mełły,
dając pożywną mąkę całej okolicy.
Ale gdy był przednówek i nie było ziarna,
wówczas we młynie milkła praca gospodarna,
bo wiatrak burczeć nie chciał — i mleć po próżnicy!
Z mąki razowej czy białej
ludzie bogaci czy biedni
chleb wypiekali powszedni,
placki, gomółki,
opłatki, bułki,
a czasem różne specjały.
A że koło Kruszwicy był sławny miód-lipiec,
więc komuś się udało także piernik wypiec,
W owym czasie pierniki były w wielkiej cenie
i zwłaszcza na odpustach miały powodzenie,
a więc dzieci młynarza,
jak to się zdarza,
upatrzywszy w pierniku niejedną zaletę,
kupią go na kiermaszu *za dobrą monetę*
i zamiast go pokrajać i zjeść kęs po kęsie,
postawią go z szacunkiem za szybą w kredensie.
Piernik, widząc swój honor, zhardział niby bożek
i za prawdę uważać jął wszystko, co orzekł,
i siebie jął uznawać za świata wyrocznię,
aż wkońcu szydzić z ludzi i z wiatraków pocznie:
„Ja jestem nieomylny, niby drugi papież!
Ty durny jesteś, młynie, który wiatry łapiesz!
Ty nad poziomy sięgasz fantazją wesołą,
lepsze ja memi oczy widzę świata koło!
Ty, jak wyrobnik, pracę wiedziesz nieprzerwanie,
ja, jako król, bez trudów zdobywam uznanie!
Twej harówki nagroda żadna nie okrasi,
a mnie wszyscy basują — nawet kot się łasi!"

Na wszystkie te przechwałki długo milczał wiatrak,
aż wkońcu mu odburknął: „Patatrak! Patatrak!
Nie chwal-że się, pierniku, swoim cynamonem,
ani, że ci tam czasem kot merda ogonem!
Nie myśl, że całą mądrość posiadłeś najlepszą:
nieraz ludzie przesłodzą piernik lub przepieprzą!
Lepszą od ciebie mąkę nieraz młyn wytrzęsie —
ty spleśniejesz, gdy będziesz długo stał w kredensie!
A gdy o tem nakoniec szerszy świat posłyszy,
nietylko kot, lecz nawet nie zechcą cię myszy!"

„Myszy? — wykrzyknął piernik, — nie wiesz, że krytycy,
jak ja, twierdzą, że myszy nie było w Kruszwicy?
Metodą to stwierdziłem, naukowo, ściśle!
Zresztą... *ja z wiatrakiem wojować nie myślę!"*

„Masz rację! — wiatrak odpowie —
powiem ci drugie przysłowie!
Oto sentencja jest taka:
pleć sobie — *co ma piernik do wiatraka!"*

*

Umilkli po tej gawędzie...

*

Do izby wszedł młynarz biały.
Gdy ujrzał piernik spleśniały,
rzekł: *„Już z tej mąki chleba nie będzie!*
Wolę świeżą razowca posilić się pajdą!

Wkrótce myszy kruszwickie stary piernik znajdą:
nakrótko zdołał je zmylić,
poznały, że już spleśniał, więc precz go odgarną,
bo wolały pokarmem świeżym się posilić...

A wiatrak, wichrom głowę podając ofiarną,
wciąż mełł srebrzystą mąkę i złociste ziarno...

Pomysły zmarłej nie zawsze były samodzielne, szły dość często torem innych, jak np. w powieści „Twórczość Gerarda Gasztowta", będącej trawestacją ojcowskiego „Krzyku", modnego w okresie „Zdroju". Treść tasama w obu utworach.

Jak drugi Robespierre Gasztowt czuje,że musi wyzbyć się wszystkiego co ludzkie, schlebiające próżności i chęci użycia. Wszelkie uczucie jest zamąceniem lodowej czystości wiedzy, wszelkie dobrodziejstwo przyjęte odhartowaniem, wszelkie związanie i przywiązanie — kajdanami niewoli. Musi zabić w sobie indywidualnego człowieka, gdyż wówczas dopiero będzie czystym twórcą. W imię tej idei zmusza — na miejscu, brutalnie, bezwględnie — do samobójstwa odratowaną z topieli kobietę. Jakaś ciemna, milcząca noc, która nie była ani strachem ani pragnieniem, lecz cesarskim nakazem pewności kazała mu rozstrzygnąć przeciw człowieczeństwu na korzyść twórczej siły.

Bałwochwalstwo wobec sztuki doprowadziła Przybyszewska do ostatnich granic możliwości. Z nieubłaganą konsekwencją prowadzi akcję w kierunku tragedji kończącej się obłędem zatopionego w swej twórczości Gasztowta, tworzy dogmat o supremacji sztuki nad życiem z taką wiarą, jak gdyby nie było innego wyjścia z dylematu. Duszę włożyła w swoje dzieło, ona która dla twórczości zamieniła dzień na noc: większość jej prac w okresie różnych stadjów powstania nosi sygnaturę godzin grozy i ciemności. Autorka nie przyjęła wobec najusilniejszych namów żadnej posady, nie chciała krępować swej wolności żadnem zawodowem zajęciem. Nie zniżając się do skarg, odtrącała zazwyczaj pomoc materjalną, wypracowując sobie własny pogląd na ludzi i świat, pogląd różniący się djamentalnie od pojęć jej pokolenia.

W tece pośmiertnej zostało kilka dalszych prób utalentowanej pisarki. Są one przez treść swą poważnym dokumentem chwili. Zmarła posuwała się daleko w swym duchowym radykaliźmie, dorównując ojcu, czasem, zwłaszcza w kreśleniu scen wrażliwych, nawet prześcigając go. Kosmopolityzm, bezwyznaniowość i pochwała wolnej miłości stanowi zwykle oś zainteresowań w pracach tych, które powstawały na marginesie wpływów literatury zachodnioeuropejskiej, uwielbianej przez artystkę. Kto wie, czy córka, idąc w ślady młodopolskich teorji o supremacji sztuki nad innymi przejawami kultury, nie stanowi punktu zenitowego w malowaniu nastrojów przesadnie indywidualnych, dziś już doszczętnie przez wielką wojnę i nastawienie kolektywistyczne przezwyciężonych.

ALFRED JESIONOWSKI:

CZY BĘDZIE CO Z TEGO...?

Niezwykle intensywny ruch literacki w regjonie wielkopolskim, jaki się zaznaczył przed trzema laty, uprawniał do najlepszych nadziei. Od dwuch lat jednak panuje cisza na całym froncie. Rzadko bardzo pojawia się jakaś drobna publikacja regjonalistyczna, jakiś mały zbiorek poezyj (debiuty) — — pozatem nic. Czyżby to jednak prawda była z tym ugorem? Szczególnie w prozie całkowicie tabula rasa. Turwid drukował kiedyś dwie pierwszorzędne nowele — czemu nie wydaje całego zbioru? Przecież stać go na to — a warunki wydawnicze są dziś lepsze niż kiedykolwiek. Miał Sztaudynger wydać pracę o Garczyńskim. Gdzie ona? Opowiadano także, że ten i ów (nomina sunt odiosa) przygotowuje powieść, słyszało się nawet już tytuły tych powieści. Gdzie one?

Myślałem często o tej niepokojącej ciszy wśród wielkopolskich muz, oddawna zbierałem się na dłuższy artykuł, aby poddać pewnej analizie przyczyny tego stanu — jakoś schodziło. Aż tu — kilka dni temu przynosi mi poczta sporą paczkę z Poznania: manuskrypt powieści początkującego młodego literata. Zabrałem się do czytania tej ogromnej pliki (przeszło 250 arkuszy dużego formatu) bez większego entuzjazmu, tem bardziej, że doświadczenia ostatnich trzech lat, w których otrzymałem sporo manuskryptów do oceny, były raczej smutne. Zasiadłem do czytania w niedzielę rano, czytałem ją przez całą niedzielę, bo naprawdę trudno było oderwać się od tych szczerością i bólem nabrzmiałych kartek. Autor spowiada się z świadomych lat swego niedługiego życia, zbiera w pamięci wszystkie chwile bolesne i radosne, które formowały jego duszę — i tak stały się te kartki „pamiętnikiem lat dojrzewania" (nie mający nic wspólnego z powieścią Gombrowicza pod tym tytułem) młodego, wrażliwego, artystycznie niewątpliwie uzdolnionego wielkopolanina. Manuskrypt w stanie obecnym powieścią nazwany być nie może. Jest to narazie bogaty materjał, materjał całkowicie autentyczny i literacko mało dotąd wykorzystany, jeśli chodzi o treść samą. W materjale tym rozróżnić możemy trzy zasadnicze tematy: stosunki domowe — rozbudzenie się świadomości płciowej — próby usamodzielnienia się. Rzecz naturalna, że część — nazwijmy ją erotyczną — u młodego człowieka, u którego się zmysły dopiero budzą — odgrywa rolę główną. Wątek ten pojawia się w „powieści" nieustannie w najrozmaitszych warjantach, które się często nie wiele od siebie różnią, to też szczególnie ta partja wymaga bardzo ścisłej selekcji i starannego opracowania, przedewszystkiem artystycznego przetworzenia materjału surowego. Niektóre sceny tej części odznaczają się wspaniałą plastyką, głęboką szczerością, znakomicie oddają stan „gorączki erotycznej" i mimo swej drastyczności nie rażą. Bardzo interesująco ujęty jest epizod „starszej damy", pogłębienia wymaga jedynie psychika damy i zredukować by należało nieco rolę bohatera w stosunku do niej. Główne nieporozumienie polega jednak na tem, że autor nazwał głód erotyczny bohatera miłością. Bohater „opowieści" nie szukał w spotkaniach z ukochaną sposobności serdecznych rozmów, nie sublimował wcale tego uczucia, które nazywa „miłością" — przeciwnie — jest całkowicie nastawiony na zaspokojenie swego burzliwego temperamentu, co mimo dość długotrwałego stosunku czyni tylko połowicznie, rozdrażniając coraz silniej swe i tak już mocno nadszarpnięte piekłem domowem i trudnemi warunkami życiowemi, nerwy. Bohater powieści odznacza się wszelkiemi cechami kształtującego się dopiero charakteru,co utrudnione jest złym stanem nerwów: jest nieopanowany, drażliwy, stale podniecony, skory do wybuchów płaczu, łatwo poddający się desperacji. Ma tysiące dobrych pomysłów, z których żadnego nie realizuje w całej swej rozciągłości. Po każdem przykrem doświadczeniu robi tysiące postanowień, — nie dotrzymując żadnego. Ma słabą wolę, podatny jest dla każdego silniejszego wpływu. Wskutek tego też nie potrafi się zdobyć na żadną definitywną decyzję. Ale właśnie te wszystkie cechy stanowią o szczerości i wartości emocjonalnej materjału powieściowego, trzeba je jedynie odciążyć od zbędnego balastu, poskracać wydatnie całą partję „erotyczną", sharmonizować poszczególne tematy, czyli zabrać się do kompozycji artystycznej — inaczej cały ten materjał będzie posiadał wartości jedynie natury socjologicznej lub medycznej. Najsłabszą stroną powieści — to problematyka. Autor porusza szereg zagadnień wielkiej doniosłości, z których znaczenia nie zdaje sobie dostatecznie sprawy. Problem religijności, odpowiedzialności, zagadnienie honoru i etyki, pracy społecznej i indywidualnej ujął autor powierzchownie,— często naiwnie lub zgoła bezmyślnie.

Więc albo — należy wszystkie te zagadnienia przemyśleć na nowo, uzupełnić swe przemyślenia przestudjowaniem odpowiedniej literatury lub pogadankami z ludźmi obeznanymi z temi kwestjami — albo dać pokój „filozofowaniu". Wreszcie niewłaściwy i mało mówiący jest tytuł — a już wręcz okropny jest dobór nazwisk, fonetycznie źle brzmiących i z ducha nie polskich. Jeśli więc autor zada sobie trud ponownego, gruntownego przepracowania całości, jeśli przy tem przetwarzaniu artystycznem nie będzie się zanadto spieszył, chciwy szybkich laurów powieściopisarza — wtedy wierzę w to, że otrzymamy pierwszorzędną i nawskroś oryginalną powieść. Autor wykazuje talent, ale talent ten wymaga wydobycia go przez gruntowną, cierpliwą pracę, przez pogłębienie braków w wykształceniu. Do tego winien autor przystąpić w pierwszym rzędzie.

JOLENTA BRZEZIŃSKA:

„KONARSKIEGO ANDA"

(FRAGMENTY POWIEŚCI)

— Pódź jeszczy Anda! Nie leć tak do dómu! Chyba że mász z Władkiym randke umówiónóm.

— Władka ani niyma wcale w mieście.

Niyma? Wcaleś mi nie mówiyła. Dáwno?

— Pojechál dzisiej do rodziców.

— Sám, nie z tobą?

Nieumiejętnie ukrywana radość biła z jej głosu.

Anda spojrzała ciekawie na Stefę.

— Czymu się tak pytász?

Korbisówna roześmiała się.

— Nó, já myślę, że łón chce się z tobą żynić?

— Tyż chce!

— I tyżeś Anda taká głupiá, że jeszczy w to wierzysz?

— Żeby się nie chciál żynić, toby ło tym nie mówiył.

Korbisówna śmiała się głośno.

— Anda, Anda, jakáś ty głupiá. Przecież to tak każdy mówi.

— Myślisz, że łón tyż tak kłamie, jak każdy.

— A ty myślisz, że łón lepszy łod innych?

— Ale nie kłamie. Zresztóm, coby mu z tegó przyszło?

— Anda, i tyżeś taká głupia? — cieszyła się rozradowana.

Usiadły na rowie. Anda była zła.

— Já ino go zobáczyłam, to zaráz wiedziałam, że z wás párá nie bydzie. Ale nie myślałam, ży tak mu uwierzysz. Łón jest gospodarski syn, to łón sie z tobą nie łożyni, bo łón potrzebuje taką, co bydzie co miała.

— Toby ze mną nie chodziył.

— Czymu niy ma chodzić? Przecie chodzić może z każdą.

— Ale by mi nie mówiył, że sie chce łożynić.

— Łe Anda, tyś jednak głupia. Przecie łón cie chce aby dostać.

— Tak! Myślisz, że łon tyż taki jak twój Stachu.

Stefa spłoniła się. Oczy zabłysły jej gniewem.

— Czekaj, zobáczymy co bydzie mówiył, jak przyjedzie z dómu. Myślisz, że já nic nie wiym. Já dáwno wiym, że tam mają inną pannę dia niego. I nie myśl wcale, że ze wsi, bo łobywatelską córke i z piyniyndzmi. Czekaj, czy łón ci sie jeszczy na łoczy pokáże, jak nic u ciebie nie wskórá.

Anda wydęła wargi.

— Já wiym lepij łod ciebie ło tyj pannie.

— Wiysz? To ci jednak mówiył?

— Mówiył — kłamała — Poco za nim látá. Łon ji przecie nie chce.

— Ale starzy chcą. Starzy na ciebie patrzeć nie mogą.

— To co z tego? — rzuciła wzgardliwie.

— Łe ty głupiá. Przecie jak sie starzy nie zgodzą, to łón sie nie może z tobą żynić. Łóni mu nic nie dadzą.

— To co ciebie to łobchodzi? — Złość nią miotała. Była bliska płaczu. Wstała i zawróciła ku domowi.

Korbisówna podniosła się za nią.

— Wcale sie nie mász ło co gniywać, já tylko mówiyłam to co práwda.

Nie odpowiadała. Szły więc w milczeniu. Rezeszły się w pierwszej ulicy. Anda przyspieszyła kroku i wbiegła szybko na górę. Zamknęła za sobą dokładnie drzwi, oparła się o nie i — rozpłakała. Była nietylko zdenerwowana ale i głodna. A nie miała czem głodu zaspokoić.

— — — — — — — — —

Dzień był jasny, pogodny. Obudziła się późno. Podniosła się niechętnie i otworzyła okno.

Gdzieś zdoła doleciał zapach smażonych perek.

Próżny żołądek zaczął się upominać o swoje prawa. Raz i drugi poruszył ją skurczem, jakby miał spowodować wymioty. Anda zawarła usta dłonią, drugą przytrzymała się parapetu okna. Dzieci na podwórzu hałasowały, ktoś wchodził z ulicy. Słyszała jak drzwi skrzypiały, słyszała kroki na schodach. Nasłuchiwała czy nie do niej.

Postanowiła coś robić, i nie wiedziała co począć. Nie chciała iść do Marciniakowej.

— Lepiej zdechne jak żebrać pójde. Ach, żeby tyn Władek wiedziál! — i przypomniała sobie wczorajszą rozmowę ze Stefą.

— Ale jednak nie dálby mi z głodu zdychać — rozczulała się.

Usta piekły, twarz paliła. Wychyliła głowę z okna. Zapachy obiadów wychodzące ze wszystkich mieszkań, dźwięki łyżek dzwoniących o miski i talerze, podziałały mile a drażniąco. Wciągnęła łakomie zapach w nozdrza, ale żołądek zaczął znowu swoje harce.

— Jeszczy sie porzygóm. Ale czym?

Gorączka biła do głowy, silnie wstrzymywane skurcze żołądka podrzucały.

— Psiakrew, tu duszno — stwierdziła ze złością.

Wybiegła na ulicę. Woń gotowanych potraw zdawała się buchać z okien i bram domów. Nigdy jeszcze nie odczuwała tego tak silnie.

Uciekła za miasto.

Zwolniła kroku, rozdętemi nozdrzami wchłaniała rzeźwiące powietrze, jakby niem chciała zaspokoić dręczący ją głód.

Wdali na drodze zamajaczyła sylwetka ludzka. Anda przeszła rów dzielący ją od pola i szła brzegiem aż do najbliższej miedzy. Skręciła na nią i oddalała się szybko od drogi. Nie chciała spotykać ludzi. Było ciepło. Z jednej strony wybujala seradela, z drugiej ściernisko zaorane już i porosłe delikatną, młodziutką, nierówną kłębiącą się runią zboża, pachniały już jesienią.

Zmęczona siadła na miedzy. Nie wiedziała, że seradela skończzła się, że przed nią rozciągało się pole marchwi. Była senna. Znużonym wzrokiem powiodła wdal.

— Mój Boże, żeby matka żyła!

Łzy potoczyły się z jej oczu.

Rozejrzała się ze strachem czy kto tego nie widzi. Pola były puste. Gdzieś daleko pasło się kilka krów. Pastucha nie było nawet widać.

Wyciągnęła się na miedzy.

— Już pewnie nie wstane — pomyślała z żałością i uświadomiła sobie zaraz, że odrazu z głodu nie umrze.

— Jezusie, tak się páre dni mynczyć, to lepij pod pociąg iść — zapłakała znowu. I wtedy wzrok jej padł na duże, silne kępy marchwi pastewnej.

Podniosła się podniecona i rozejrzała ze strachem. Wiedziała, że nikt jej nie widzi, ale bała się.

— Może kto leżeć na polu — myślała, i zła na siebie samą, wyrwała drżącemi rękoma duży, korzeń. Przetarła go pospiesznie w trawie i ugryzła łakomie.

Ziemia trzeszczała w zębach. Nie czuła tego. Zuła soczysty korzeń i rozkoszowała się jego smakiem.

ADAM DYTKIEWICZ:

WSPÓŁCZEŚNI WIELKOPOLANIE W SŁUŻBIE KULTURY REGJONU ŚLĄSKIEGO

Ludzi z Wielkopolski rzucił los do wszystkich nieomal zakątków Polski.

Najwięcej osiadło ich na Sląsku — najmłodszej dzielnicy Rzeczypospolitej. Byli już tu oni za czasów Karola Miarki i później. Jedni z nich pracowali nieugięcie na obranej sobie drodze i niejednokrotnie decydowali o losach sprawy polskiej (Józef Chociszewski) — drudzy na innych terytorjach rozwijali szeroką działalność społeczno-narodową.

Mrok niepamięci pokrywa nazwiska szeregu innych ludzi, działaczy. pamiętnikarzy, publicystów. Odgrzebuje te nazwiska z pożółkłych już kart i przypomina Mieczysław Dereżyński, znany i ceniony pracownik w tej dziedzinie.

Ludzie z Wielkopolski, tworzący tu ongiś na marginesie pracy zawodowej lub działalności narodowo-społecznej, spełnili swą misję, ustępując miejsca nowym ludziom. Współczesna praca kulturalna Wielkopolan, to nie plon ostatnich lat — jeno dalszy

ciąg ruchu kulturalnego dawnego Śląska. Oczywiście powrót Śląska do Polski oznacza nowy etap w rozwoju pracy kulturalnej Wielkopolan. Zastali oni przecież Śląsk inny, twórczy, nasz.

Dzisiejszy Śląsk, to nietylko kopalnie, fabryki i bezrobotni. Uczony, plastyk, pisarz i poeta otworzyli swoje warsztaty i tworzą.

Ślązakom podali dłonie i inni ludzie. Podobnie, jak w Wielkopolsce. Wspólnemi siłami, rękami i mózgiem — wkładają pracę pod wielki ruch kulturalny, który tu rozwija się wspaniale! W pochodzie kulturalnym Śląska kroczą również Wielkopolanie, których widzimy w poszczególnych dziedzinach kultury. Wogóle inteligencja jest liczna. Szkolnictwo i oświata przedewszystkiem.

Zaczynamy od muzyki. Tu mamy znanego *Stefana M. Stoińskiego* z Szamotuł. Entuzjasta i muzyk wielkiej miary, organizator ruchu śpiewaczego na Śląsku, kompozytor. Kierownik opery katowickiej w 1922—1924 r. Redaktor „Śpiewaka" i recenzent muzyczny „Polonji". Dyrektor Instytutu Muzycznego o ogromnych zasługach: pomnik Moniuszki i wystawa moniuszkowska w Katowicach. Poza szeregiem niewydanych utworów należy wymienić: „Dziesięć pieśni górnośląskich", „Śmierć komara", „Rozmowa z piramidami", potężną „Wielką modlitwę" do słów Żelechowskiego i Gałuszki, „Balladę" na orkiestrę i wiele innych. Stoiński dyryguje „Ogniwem", które osiągnęło imponujące wprost wyżyny sztuki śpiewaczej, zespołowej. Człowiek pracy, o wielkich zaletach ducha, wszechstronny i ceniony artysta idzie nieomal sam przez życie.

Stoiński znany jest nietylko na Śląsku. Mówi o nim cały świat muzyczny w Polsce. Fachowa krytyka oceniła jego pracę w czasopismach muzycznych i do nich czytelnika „Wici" odsyłam.

Krytyka literacka ma przedstawiciela w *Alfredzie Jesionowskim* pochodzącego z Mogilna. Profesor-romanista przy gimnazjum pszczyńskiem. Regjonalista sercem i duszą. Współpracownik literacki „Działu Kultury i Sztuki" Kurj. Pozn., „Zarania Śląskiego", „Wici Wielkopolskich", „Prosto z mostu", „Polski Zachodniej" i szeregu innych. Krytyk bibljoteki „Roju", współpracownik Instytutu Śląskiego (dłuższa praca o motywach polskich w współczesnej beletrystyce niemieckiej), współpracownik „Żywego Dziennika" w Katowicach i prelegent rozgłośni katowickiej. Ruchliwy działacz oświatowy wśród Młodzieży Powstańczej. Prowadzi redakcję „Młodego Powstańca" i inne prace w zakres oświaty pozaszkolnej wchodzące.

Jesionowski jest człowiekiem pracy i czynu, a pióro jego znane jest z ciekawego ujmowania tematów, które wyszukuje. Śląsk bardzo go ceni.

Oświata pozaszkolna ma też przedstawiciela w *dr. Maksymiljanie Hasińskim.* Kierownik Oddziału Oświaty Pozaszkolnej Wydziału Oświecenia Publicznego w Katowicach. Radca. Wybitny działacz i organizator kursów oświatowych dla nauczycielstwa i przodowników świetlicowych. Za jego staraniem powołano do życia Uniwersytety Powszechne na Śląsku. Człowiek o wysokiej kulturze, pracujący na kierowniczem stanowisku w Urzędzie Wojewódzkim Śląskim.

Na niwie oświatowej znany jest *Stanisław Wyrębski* pochodzący z pod Mogilna. Kierownik Sekretarjatu T. C. L. na Górny Śląsk. Istotną jego pracą jest bibljotekarstwo. Artykuły oświatowe w „Przeglądzie Oświatowym", „Strażnicy Polskiej" i in.

Wielką postacią jest *Tadeusz Szaliński* z Gniezna. Starosta powiatu świętochłowickiego. Sprężysty administrator. Główny prezes Związku Rezerwistów na Śląsku. Organizator ruchu muzycznego wśród tejże organizacji.

Księgarzem jest *Grzesiewski Tad.* w Chorzowie, w dziennikarstwie pracuje *Stanisław Nogaj.*

Znane są tu również postacie kobiece. Nie od dziś. Latami zasiedziałe na Śląsku. Wymienić należy działaczkę wielkiej miary, dziś już siwizną przyprószoną *Teresę Panieńską.* Pisała wiersze proste, miłe, słoneczne. Zbiór jej nosi tytuł „Polne kwiaty". Moc wierszy nie wydanych. Zapomniana Wielkopolanka.

Skromną zbieraczką pieśni śląskich jest *Iza Mendel-Korytowska.* Opracowała pieśni ludowe na fortepian i solo do domowego użytku. „Leć pieśni ludu śląskiego niech cię wszyscy pokochają" — to tytuł jej pracy. Szerzy między młodem pokoleniem zamiłowanie do rodzimego obyczaju, pielęgnując dobrze pojęty regjonalizm.

Wogóle nasze Wielkopolanki są czynne i widać je na wszystkich odcinkach życia śląskiego.

Uwzględnienie współczesnych Wielkopolan biorących czynny udział w życiu społeczno-politycznem i organizacyjno-zawodowem Śląska daje pełny obraz pracy i wysiłków ludzi z Krainy Wielkich Dolin. To jednakże nie wchodzi w ramy niniejszego feljetonu. Rzeczą kogo innego będzie zebrać działaczy i społeczników naszych pracujących tu od czasów przedplebiscytowych i teraźniejszych do specjalnego, szerokiego artykułu — pracy.

Pobieżny ten szkic mówi, że dzisiejsi ludzie z Wielkopolski pracują i tworzą, na pożytek Śląska, który polskim był, jest i będzie.

Autor artykułu skromnie przemilcza swą owocną pracę na terenie Śląska. Pracuje on od kilku lat jako oświatowiec na niwie literacko-regjonalnej w charakterze współpracownika kilku pism śląskich i dalszych, oraz — jako organizator imprez poświęconych sztuce i regjonowi.

(Przyp. Red.)

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł.
Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.